

O S K A R  
SALWA

*„Kiedy miłość  
nie pasuje do obrazka”*

**Wernisaz**



**Wernisaž**



O S K A R  
SALWA

# Wernisaz

L I R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2017

ISBN: 978-83-65838-01-8

## ROZDZIAŁ 1

Powinien być spokój, a go nie ma. Powinno być *dolce far niente*, a jest hałas za oknem. Coś tu nie pasuje do obrazka, choć jest przecież słodkie sobotnie popołudnie, a promienie słońca wpadają do mieszkania przez stare balkonowe drzwi. Leniwy czas. Pierwszy tak uroczy, ciepły dzień, w sam raz na początek maja. Cieszcie się, ludzie — Warszawa zaczyna wiosenny sezon leżaków nad Wisłą!

Marta mości się na sofie. Przymyka oczy. Po szarym przedwiośniu, z którym nie mogła sobie poradzić, razi ją słoneczne światło, odbijające się od nieskazitelnie białych ścian ich, z takim trudem splecanego, mieszkania. Pięknie pachnie świeżo wypastowany parkiet. To zasługa Iriny, młodej Ukrainki. Krzepkiej dziewczyny o dzikiej urodzie. Marta dzwoni do niej czasem, żeby ta przyjechała i nieco posprzątała w domu. Zaprasza Irinę z oporami, ponieważ nie należy do osób, które lubują się w wydawaniu poleceń innym. Komenderowanie ludźmi — to nie jest w jej stylu. Filip jednak zawsze powtarza Marcie, żeby nie miała oporów. Bo o co w końcu chodzi? Studentce ze Wschodu wpadnie kilka złotych, a w mieszkaniu będzie błysk. Z takiego układu każdy powinien być zadowolony. Wypastowana podłoga — jej woń przypomina dziewczynie dobre, studenckie czasy na historii sztuki. Kiedy to było? Już ponad dziesięć lat temu obroniła pracę magisterską. Tak pachniały parkiety w pałacach i dworach, które otwierano specjalnie dla nich; młodzieży mającej dostęp do dóbr kultury, o jakich ich rówieśnikom się nie śniło. Tak pachnie ład i porządek. To jest zapach estetyki.

I wszystko byłoby tego sobotniego popołudnia dobrze, gdyby nie jazgot dochodzący z zewnątrz.



Marta zbiera w kucyk jasne, proste włosy. Opiera się o ścianę, podkładając najpierw pod głowę recyklingową poduszkę z poszewką z szarego płótna. Materiał trochę drapie w kark, ale to nic nie szkodzi. Trzeba promować wykorzystywanie surowców wtórnych. Jest za tym, jak najbardziej. Kościste kolana podciąga pod brodę. Trzy piętra pod nią, na podwórku studni, krzyczą dzieciaki. Ładna pogoda wywabiła je w końcu z ciasnych pokoi, w których całymi tygodniami katowały się tysiącami bezsensownych zdań przesyłanych internetowymi komunikatorami. Teraz zachowują się tak, jak zachowywali się w ich wieku ich rodzice i dziadkowie. Siedzą na dworze i się nudzą. Przeklinają na całe gardło. W powietrzu wirują najgorsze „jebry”. Wzbijają się w górę, docierają na trzecie piętro i przewalają się przez żeliwną balustradę balkonu. Krążą Marcie nad głową. Cóż, trzeba się z takimi rzeczami pogodzić. To są uroki życia na gustownie urządzonych stu metrach kwadratowych w podupadłej kamienicy na warszawskiej Pradze, z sąsiadami z kwaterunku. Marta jednak nie narzeka. Docenia miejski folklor, który wcale nie przypomina skansenu. Ludzie żyją tu naprawdę intensywnie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na klatkach schodowych i w zimnych bramach słyszeć frenetyczne śmiechy

i spazmy, głuche ciosy pięści i miłosne jęki. Ale akurat dzisiaj, z okazji miłego popołudnia, kiedy liście podwórkowej akacji mienia się w zachodzącym słońcu, mogłaby być cisza.

W zamku zgrzyta klucz. Ustępują zasuw, a jest ich sporo. Są pozostałością po poprzednim właścicielu, który zresztą też nie był pierwszym mieszkańcem lokalu pod numerem dziewięć. Burzyński mieszkanie kupił od pana mecenas Kowalika, prażanina z dziada pradziada, chluby prawobrzeżnej palestry. Małego Kowalika, który był wzrostu dziesięcioletniej dziewczynki, wszyscy szanowali. W drzwiach swojej dziewiątki nie założył nawet cienkiego łańcuszka. Na całe wakacje wyjeżdżał na Mazury i wracał do nietkniętego złodziejską ręką mieszkania. Na stare lata Kowalik przeniósł się do Anina, do córki. Mieszkanie nabył od niego niejaki Burzyński. Człowiek znikąd. Nie wiadomo było, co to za typ. Nikt go nie lubił. Notorycznie się do niego włamywano. Zainstalował więc skomplikowany system rygli, a po paru ciężkich latach dał ogłoszenie, że pozbędzie się stumetrowego mieszkania w sercu Pragi — po okazyjnej cenie. W ten właśnie sposób w kamienicy pojawili się Marta z Filipem, którzy byli bardziej ciekawi życia w prawdziwym domu z zawilgoconymi piwnicami

niż w apartamentowcu z podziemnym garażem. Zasuwy odziedziczyli po Burzyńskim.

W drzwiach ustąpiła ostatnia zapora. Filip z hukiem wchodzi do środka. Na wypastowaną podłogę rzuca teczkę ze szkicami. Już od progu szuka papierosów. Całą paczkę wypalił po drodze do domu. Zagląda do szuflady sekretarzyka stojącego pod owalnym lustrem w rzeźbionej ramie. Ale fajek nie ma już nawet i tam, więc jest wściekły, chociaż dopiero co przyjechał. Zaraz będzie musiał zejść na dół, do sklepu „U Leszka”.

— Jezu, ale te bachory się drą. Jak ty to wytrzymujesz?

Filip wybiega na balkonik. Staje na palcach. Wychyla się przez ażurową barierkę. Na szerokich plecach ma wielką plamę potu, a całe ubranie wygniecione po kilkugodzinnej podróży samochodem. W lnianej koszuli i lnianych spodniach wygląda niczym z Cézanne’a albo Moneta. Na czubku głowy ledwie trzyma mu się lekki kaszkiet, spod którego wystają kręcone, grube blond loki. Malarz wrócił z pleneru we Wroceniu nad Biebrzą. Że też wciąż chce mu się robić takie rzeczy! Kto dziś jeszcze maluje z natury? Kto ćwiczy rękę i oko przy prawdziwym pejzażu? Jest jak ostatni Mohikanin. Od kiedy są z Martą, czyli od dekady, regularnie jeździ

w plener. Twierdzi, że to jego trening. Jedni codziennie machają hantlami, a on, żeby nie zardzewieć, musi regularnie po parę godzin malować przyrodę. Tego wymaga artystyczna uczciwość, porządne rzemiosło, bo Filip nienawidzi w sztuce hucpy, efekciarstwa i przerostu formy nad treścią, na których jego kumple robią kariery, mydląc wszystkim dookoła oczy. Jest porywczy, a przy tym nieprzejednany i konsekwentny. To właśnie imponuje Marcie.

Stoi na balkonie, a płowa czupryna lśni mu w słońcu.

— Zamknijcie się! Albo spieprzajcie! — krzyczy apostoł sztuki.

Mógłby im wygrażać z tej ambony do ciemnej nocy i nic by to nie dało. Hałas nie ustaje. Od murów odbijają się szydercze rechoty. Czyjaś chuda ręka wznosi się i na tle bezchmurnego nieba prostuje ku górze środkowy palec. Wściekły Filip nie daje jednak za wygraną. Mocno zdenerwowany drze się teraz na całe gardło, aż ze złości głos mu się łamie. Przechodzi w żaloszny dyszkant. Marta chowa głowę w poduszkę. Zna te jego wysokie rejestry, na które tyle razy wchodził, wyklócając się o imponderabilia. Nieraz była świadkiem, jak obraża krytyków, skacze do oczu dziennikarzom, szarpie się w knajpach z innymi malarzami. W sprawach sztuki nie uznaje

żadnych kompromisów. Jego musi być na wierzchu, choćby miał wydzierać się tak, że popękają wszystkie szklanki, a z Fejsa znikną ostatni znajomi.

Dawniej Marcie wydawało się, że Filip przesadza. Niepotrzebnie idzie z każdym na czołowe, zamiast odpuścić. Jednak po pewnym czasie jego opinie na świat i ludzi stały się też i jej poglądami. Trwa więc w narożniku przy jego boku. A gdy widzi, że ktoś chce nieczysto zaatakować jej chłopaka, sama wychodzi na ring. Trudno tylko wytrzymać, gdy podnosi głos. Dźwięk, który się wtedy z niego wydobywa, jest jak pisk mordowanej myszy, aż bolą uszy. Choćby uosabiał całą mądrość świata, nie da się go wtedy słuchać. Podniesiony głos odbiera Filipowi powagę. Marta wstaje z sofy. Nie pali, ale paczkę na czarną godzinę ma dla Filipa zawsze odłożoną w zamykanej wnęce, w której znajduje się wiekowa czarna skrzynka licznika na energię. On nigdy nie pamięta o tej skrytce. W pomiętej paczce został ostatni papieros. Nie warto gardłować z dzieciakami w to piękne popołudnie.

— Odpuść — mówi Marta.

Kładzie dłoń na ramieniu Filipa i podaje mu papierosa. Bierze go od niej bez słowa i po chwili zaciąga się głęboko nikotyną. Filip pachnie słono, długą podróżą i farbami. Ich ślady widać na karku

i na rękach, które odsłonił, podwijając wysoko rękawy koszuli w kolorze khaki. Humor mu wraca. Znowu potrafiła go uspokoić, a nie jest to łatwe i nie zawsze się przecież udaje. Wypuszcza ostatnią smużkę dymu. Marta podsuwa mu masywną, porcelanową popielnicę, ozdobioną tandetnym wizerunkiem rzymskiej Bazyliki Świętego Piotra. To upominek od Nikolety, szalonej staruszki, która najlepsze lata spędziła we Włoszech. Upatrzyła sobie Martę. Nazywa ją swoją wnusią i od czasu do czasu próbuje rozpieszczać podarunkami wyciąganymi z głębokiej walizki oblepionej podróżnymi kwitami Alitalii. Filip gasi niedopałek.

— Chodź do środka — Marta szepcze mu do ucha.

Chce jeszcze chwili spokoju, bo od najbliższego poniedziałku czekają ją sądne tygodnie. To będzie czas przygotowań do wernisażu organizowanego przez Arte Nuevo, modną galerię, w której pracuje. Mieści się przy Nowym Świecie i od kilku sezonów jest absolutnie najmodniejszym miejscem w Warszawie. Przepływa przez nią dużo pieniędzy i mnóstwo sezonowych gwiazd o mentalności nowojorskiej bohemy oraz ze zdolnościami, których mają tyle, co brudu za paznokciem — tak uważa Filip. I Marta przyznaje mu rację, jednak musi pamiętać, że przecież galeryjny interes nieźle się kręci.

Wprawdzie lekko nie jest, ale mają z czego spłacać comiesięczną ratę za gniazdko pod praskim adresem.

— Chodź do środka — kolejny raz szepcze mu do ucha.

Filip zaczesuje do tyłu niesforne włosy, które spadają mu na oczy. Kręci się po mieszkaniu, bo jak zawsze po powrocie z pleneru nie potrafi znaleźć sobie miejsca. Buzują w nim malarskie emocje. Zapaliłby kolejnego papierosa. Chyba jednak skoczy do Leszka, tym bardziej że facet może w każdej chwili zamknąć sklep. Jeżeli dziś gra Legia, czego Filip nie jest pewien, bo futbol go w ogóle nie obchodzi, Leszek zaciągnie kraty i pryśnie do baru dwie kamienice dalej oglądać mecz ze swoimi koleżkami.

— Pamiętasz, że za kilka tygodni mam wernisaż? — Marta gładzi blond grzywę Filipa. — Chcę wkręcić twoje ostatnie prace na wystawę w Arte Nuevo. Są świetne.

— Nie! Nie rób tego! — krzyczy, jakby diabeł w niego wstąpił. — Ten cały rynek sztuki to ostatnie dno. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Marta udaje, że nie słyszy jego histerycznej reakcji, której oczywiście się spodziewała. Jak gdyby nigdy nic idzie do kuchni. Tym razem nie przyjmuje do wiadomości żadnych sprzeciwów.